Rok I. Kraków, dnia 17. Listopada 1907 r. Nr. 12.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.
Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Przemiana stronnictw.

Jako „Polski Związek rolników“, który chce wszystkich rolników bez względu na stronnictwa godzić i łączyć, możemy oceniać bezstronnie działalność poszczególnych stronnictw politycznych i wskazywać o ile ona jest dla rolników pożyteczną, lub szkodliwą. Możemy pisać o tem ze spokojem i sprawiedliwie, bo od żadnego stronnictwa zależni nie jesteśmy, a o każdem możemy prawdę, choćby ostrą, napisać.

A że teraz właśnie o naszych stronnictwach piszemy, to dla tego, że stronnictwa te są obecnie wśród przemian, z których nie wiadomo, co wyniknie i jak się ich stosunek do ludności rolniczej ułoży.

W polityce bywa, że wczorajsi nieprzyjaciele stają się w zmienionych stosunkach przyjaciółmi, że stronnictwo działające szkodliwie tak długo, dopóki nie mając siły ani wpływu na rządy, ograniczało się tylko do wymyślania na wszystkich i podburzania ludności, zmienia się raptem, uspokaja i poważnieje z chwilą, gdy doszedłszy do siły i wpływu, musi przyjąć na siebie choć część ciężkiej odpowiedzialności. Bo łatwiej wymyślać i krzyczeć, że inni źle rządzą, niż samemu lepiej rządzić, gdy pora nadejdzie. A im bardziej się przedtem na rządzących wymyślało, tem trudniej potem zadowolnić swych własnych stronników.

Gdy więc czuje się już zbliżającą się chwilę udziału we wpływie na rządy, musi takie stronnictwo uspokoić się i złagodnieć, by ludność mogła o dawnych wymyślaniach i kłamliwych obietnicach zapomnieć, i nie była potem zbyt wymagającą.

W tem widzimy powód przemiany, jaka się teraz dokonuje w kierownictwie „stronnictwa ludowego“.

Nigdy nie byliśmy nieprzyjaciółmi stronnictwa ludowców, byliśmy tylko nieprzyjaciółmi agitacyi, gdy była niesumienną. Umieliśmy rozróżnić program stronnictwa ludowego, z którym się w wielu punk-

tach każdy rolnik zgodzić może, od kłamstw i obietnic (n. p. podziału gruntów dworskich między chłopów), rzucanych dla pozyskania jak największej ilości głosów chłopskich przy wyborach i dla zgromadzenia jak największej ilości posłów pod swemi rozkazami.

Obecnie, gdy partya ludowców wzrosła i gdy, licząc aż 18 posłów we Wiedniu, stała się języczkiem u wagi między Kołem polskiem z jednej, a Rusinami, socyalistami i syonistami z drugiej strony, gdy przez to rząd musi się z tymi głosami liczyć, przyszła pora na powagę i spokój.

Tem się tłomaczy, że od miesiąca nie ma w *Przyjacielu ludu* żadnych wymyślań na większych rolników, tem się też tłomaczy ostatnia wolna od wszelkich napaści na Koło polskie, na rząd krajowy mowa p. Stapińskiego i ścisłe porozumienie z Kołem polskiem, w jakiem teraz pozostaje. Zrozumiał od razu, że mając 18 głosów, ma w ręku siłę nie małą. Że Koło polskie, mając mniej niż połowę posłów z Galicyi, jest bez niego w wielu ważnych sprawach bezsilnem. Rusini i socyaliści również bez niego nie mają większości.

Co więc robić? Z Rusinami i socyalistami przeciw Polakom łączyć się nie można, bo by go wszyscy słusznie za zdrajcę ogłosili. Więc wstąpić do Koła polskiego, które się przez lata całe oczerniało. Jak tu taki krok wytłumaczyć. Jak tu się przyznać naraz, że się przez lata mówiło nieprawdę, że Koło polskie polskich i rolniczych interesów zawsze gorliwie broniło i broni. Chłopi niewiedzieliby czemu wierzyć i kto wie, jakby się zachowali.

A przytem wstąpiwszy do Koła, gdzie teraz na 53 posłów jest tylko 12 konserwatystów, gdzie demokraci, posłowie miejscy mają większość, musieliby ludowcy dla obrony interesów rolniczych przed demokratami, iść razem z konserwatystami, ze szlachcicami, na których tak długo psy wieszali.

Bo nie mogliby przecie jako rolnicy popierać żądań demokratów otwarcia granic dla obcego bydła i świń, potanienia mięsa, przeniesienia podatków z miast na wsie i ciągłego podwyższania pensyi wszystkim urzędnikom, oficerom, służbie państwowej i tp.

Musieliby dla obrony rolników złączyć się ze szlachcicami i wytworzyć wraz z nimi większość w Kole.

Lecz czy by to chłopi w kraju, przed którymi się tak długo każdego wielkiego rolnika, każdego szlachcica jak dyabła z rogami przedstawiało, czy by to chłopi w kraju rozumieli i uznali?

A przytem wstąpiwszy do Koła, przestałby być p. Stapiński prezesem rolnego klubu, z którym czasami nawet sam najstar zy minister gada.

Trudna więc jest sprawa. Ale siła prawdy jest tak wielką, że prędzej czy później musi zwyciężyć. Wierzymy też, że mimo wszystkiego, mimo całej przeszłości ludowcy wstąpią do Koła, i tam z wszystkimi innymi rolnikami bronić będą naszych rolniczych interesów. Prawda to jest tak oczywista, że rozumie ją już p. Stapiński i stąd też zmienia już i w gazetce swej i na wiecach sposób mówienia.

Naszem zdaniem przemiana powinna być jeszcze prędszą. Jeżeli p. Stapiński chce istotnie dobra i podniesienia polskiej ludności rolniczej, to powinien bez zwłoki do Koła polskiego wstąpić, by nie dać tam przewodu na szkodę rolników narodowym demokratom.

Stronnictwo ludowe, jeżeli ma mieć przyszłość i wpływ znaczniejszy na rządy Kraju, musi zerwać ze swą przeszłością, z całym tym stekiem wyzysków, kłamstw, potwarzy i podburzań, z całą tą ciasnotą wynalezionego świeżo „chłopskiego narodu“, a stać się stronnictwem ogólno agrarnem, czyli rolniczem, t. j. pracującem dla podniesienia rolnictwa i rolników zarówno małych jak większych, bo jednakie jednych i drugich potrzeby i interesa.

A w takim razie bez względu na dawne grzechy przewódców spotkać się możemy ze stronnictwem ludowem, jako katolicy, polacy i rolnicy we wspólnej, zgodnej, a da Bóg owocnej pracy dla dobra wszystkich polskich rolników.

Przechodzimy z kolei do przemian w stronnictwie „Centrum ludowem“.

Stronnictwo to powstało niedawno z połączenia się księży i oddanych tymże małych rolników z ks. Stojałowskim i jego zwolennikami, a kierowane przez księdza Pastora, zdobyło wprawdzie przy ostatnich wyborach kilkanaście poselstw, lecz niedługo po wyborach zaczęły się między posłami „Centrum“ spory i walki.

Najpierw wystąpił z „Centrum“ poseł sejmowy Skołyszewski.

Po Skołyszewskim wystąpił z „Centrum“ p. Kramarczyk. Nie przyłączył się jednak do żadnego innego stronnictwa.

Wreszcie przed paru tygodniami we Wiedniu nastąpił zupełny już rozłam wśród posłów „Centrum ludowego“.

Pięciu posłów z ks. Stojałowskim na czele wróciło do dawnej swej nazwy „Stronnictwa Chrześcijańsko-społecznego“, pozostali zaś posłowie księża postanowili utworzyć „Poselski Związek rolniczy“.

Do utworzenia jednak tego związku dotąd jeszcze nie przyszło, bo ks. Pastor jest posłem z miast i obawia się przyznać głośno, że chce bronić interesów rolniczych.

Zdaniem jednak naszem, posłowie księża nie powinni się oglądać na swego dotychczasowego prezesa, lecz śmiało stanąć pod tym samym sztandarem obrony potrzeb rolników.

Wreszcie o zmianach w trzeciem stronnictwie słów parę. Są to rozmaitego rodzaju demokraci, posłowie miejscy przeważnie. Przeróżnie się oni ponazywali! Jedni nazwali się demokratami narodowymi. Tych jest najwięcej, a przewodzi im mieszczuch ze Lwowa, profesor Głąbiński. Program mają śliczny. Gdy go kto przeczyta, to może pomyśleć, że to najlepsze na świecie stronnictwo. Mają nawet swój program rolniczy, pracy dla dobra rolników. A jakże! Ale program ten, to dla nich tylko mydlenie oczów naiwnym. Bo robota ich jest wprost przeciwną programowi.

Mieli wzmacniać siły narodu polskiego i obudzić świadomość narodową u chłopów polskich. No i obudzili świadomość narodową bardzo szybko i bardzo skutecznie; ale wśród chłopów ruskich. Za ich sprawą zaczęli chłopi ruscy, którzy dawniej głosowali przy wyborach na Polaków, wybierać tylko ruskich gazeciarzy i adwokatów i to takich, co by Polaków za San wygnać, wyrżnąć lub wytopić chcieli. Panowie Budzynowski, Trylowski i inni, nienawidzący nas posłowie ruscy, postawią zapewne kiedy pomnik p. Głąbińskiemu. Bo jego robocie zawdzięczają, że mają wpływ i że są posłami. Jego robocie zawdzięczać będą Polacy, jeżeli wśród rozgorzałej z Rusinami walki, jeżeli wśród ciągłych gróźb strejków-

bojkotów i gwałtów nie zdołają wytrzymać we wschodniej Galicyi i w walce z przewagą ruską ulegną! A tak spokojnie było, tak zgodnie we wschodniej części kraju, dopóki p. Głąbiński i inni narodowi demokraci nie wzięli się do robienia polityki i do szczucia przeciw Rusinom. A każdy prostak przecie wie dobrze, że gdy się słabszego na silniejszego poszczuje, to na to, by ten słabszy po łbie dostał. Ale niech tam Polacy po łbie biorą, byle ich przedtem posłami wybrali. To była narodowa polityka tych demokratów.

A jacy z nich prawdziwi przyjaciele rolników! W sejmie stawiają wnioski o otwarcie granicy rumuńskiej dla przywozu obcego bydła, by sobie mogli jeść tanie mięso, ale w przeznaczonej dla ćmienia rolników gazetce *Ojczyźnie* udają wielkich obrońców rolnika. W sejmie stawia p. Głąbiński wniosek, by podwyższyć dodatki krajowe do podatku gruntowego, by rolnicy więcej płacili, a by za to zniżyć dodatki w miastach, by mieszczuchy płacili mniej. Niech tam za nich płacą rolnicy. Ale w *Ojczyźnie* pisze się na każdej stronie pochwały dla p. Głąbińskiego, jako jedynego prawdziwego obrońcy rolników. Ktokolwiek co dobrego zrobił dla mieszczuchów, to z pewnością przyzna się do tej zasługi p. Głąbiński w gazecie dla mieszczan *Słowie polskiem.* A ktokolwiek co dobrego zrobił dla rolników, to przyzna się do tego znów p. Głąbiński w *Ojczyźnie.* Prawdziwie wielki człowiek w swoich własnych gazetach, bo w innych gazetach kpią sobie z niego jak się patrzy.

Oprócz tych demokratów z pod Głąbińskiego, co to się narodowemi nazwali, są jeszcze demokraci skoncentrowani, czyli zjednoczeni. Nazywają się tak nie dlatego, że się ciągle między sobą i z innemi demokratami kłócą i żrą, lecz dlatego, że się coraz z kim innym jednoczą. — Jednoczyli się już z żydami, jednoczyli się ze socyalistami, a teraz świeżo zjednoczyli się z byłym konserwatystą p. Leo, prezydentem miasta Krakowa, człowiekiem z urody i wymowy, a zwłaszcza ze stałości przekonań politycznych uderzająco podobnym do posła Skołyszewskiego.

Wreszcie są jeszcze „demokraci“ tacy sobie poprostu domokraci bez bliższego określenia. I ci są z pomiędzy demokratów najuczciwsi, bo z byle kim się nie łączą, przyjaciół rolnika nie udają, ale też wrogo przeciw rolnikom nie występują.

Otóż ci wszyscy rozmaitych gatunków demokraci znajdują się w Kole polskiem w Wiedniu w liczbie 30, a że Koło liczy 53 posłów, więc stanowią większość i mogliby co chcą uchwalić, a i ministrów z pomiędzy siebie wyznaczyć i prezesa Koła z pomiędzy siebie wybrać. Mogliby to dawno zrobić, gdyby byli między sobą w zgodzie i gdyby jeden drugiemu nie zazdrościł.

Ale gdy weszli do Koła zgody nijakiej między nimi nie było. Więc ponieważ demokraci zjednoczeni i demokraci nie chcieli Głąbińskiego, a Głąbiński nie chciał Petelenza ani Dulęby, więc zgodzili się z konieczności na to, by prezesem Koła wybrać rolnika i konserwatystę, Abrahamowicza, który od lat już Kołu przewodniczył. Nie mogąc się zgodzić między sobą, nie żądali również ustąpienia obu polskich ministrów, Korytowskiego i Dzieduszyckiego, którzy są konserwatystami. Będąc bowiem w niezgodzie, nie mogli się większości swojej dorachować.

I byliby się może do dziś dnia nie dorachowali, gdyby nie prezydent Krakowa, p. Leo. Ten Pan w rachunkach biegły, bo już nie mało pożyczonych dla Krakowa milionów wyrachował i przy układaniu budżetu miejskiego umiał zawsze tak wszystko wyrachować, by się nikt niedoboru dorachować nie mógł, ten p. Leo, mając swoje rachunki z namiestnikiem, któremu chciał przynajmniej dokuczyć, przybył do Wiednia, zwołał wszystkich demokratów i wyrachował im, jak 2 a 2 cztery, że 30 jest wiekszą połową 53.

Demokraci aż gęby otworzyli ze zdumienia i od razu poczuli swoją siłę. A gdy im jeszcze p. Leo wytłómaczył, że konserwatystów jest tylko 12, więc łatwo ich przegłosować i Abrahamowicza oraz obu ministrów do ustąpienia zmusić, że zaś skoro jest 3 gatunki demokratów i 3 godności do obsadzenia, to mogą się przecie jakoś pogodzić, demokraci nie posiadali się z radości, Głąbiński i Petelenz omało nie udusili Lea w uściskach i odrazu wszyscy zaprzysięgli zawrzeć między sobą zjednoczenie, czyli unię demokratyczną, dla osiągnięcia tak wzniosłego celu objęcia posad dla dobra swego pięknego kraju!

Głąbiński zabrał się zaraz do roboty. Korzystając z toczących się właśnie układów rządu z Rusinami pod przewodnictwem Koła polskiego, podniósł w Kole przy pomocy swego usłużnika p. Ptasia ogromny gwałt, że prezes Abrahamowicz i minister Dzieduszycki przyznali Rusinom jakieś ogromne a krzywdzące Polaków ustępstwa. Zarzucił, że prezes Koła i obaj polscy ministrowie przyznali te ustępstwa bez jego wiedzy i poza plecami Koła, bo chciał w ten sposób prezesa i ministrów do ustąpienia zmusić, by sobie i swoim miejsce i posadę ministra zdobyć. Ale cóż się pokazało. Oto że p. Głąbiński dobrze wiedział, jakie to ustępstwa przyznano Rusinom i że te ustępstwa są sprawiedliwe i dla Polaków bynajmniej nieszkodliwe. Pokazało się co więcej, że wszystkie narady prezydenta ministrów z przewodnictwem Koła w sprawie tych ustępstw odbywały się w obecności p. Głąbińskiego, jako wiceprezesa Koła i że on się na te ustępstwa zgodził. Pokazało się wreszcie, że on sam za pośrednictwem swoich przyjaciół z Rusinami się zwąchał, aby myśleli, że to on im te ustępstwa wyjednał.

Gdy to wszystko wyszło na jaw, zawstydzili się wszyscy uczciwsi demokraci i odmówili p. Głąbińskiemu swej pomocy. No i p. Głąbiński może teraz śmiało zaprzeczać w swych gazetach, że on nie chciał być ministrem. Tak jak lis, co gdy nie mógł się dostać do kurnika, pocieszał się, że kurczęta jeszcze za młode. Niech podrosną!

Ale dla p. Głąbińskiego już one nie podrosną, bo się i w Wiedniu i w kraju wszyscy z niego śmieją. I wszyscy się przekonali, że w stronnictwie narodowo-demokratycznem zaszła istotnie wielka przemiana. Ze stronnictwa politycznego przemienili się na spółkę ubiegających się o posady — bez powodzenia.

Nas rolników mało to obchodzi, czy się p. Głąbiński mniej lub więcej zbłaźnił i nie zabieralibyśmy tem miejsca w gazetce, gdyby nie to, że pod rozkazami p. Głąbińskiego pozostaje dotąd trzech posłów rolników, pp. Wiącek, Fiedler i Maślanka i jeden zasłużony bardzo dla rolników ksiądz Adam Kopyciński.

Więc zapytujemy się tych szanownych posłów, czy mogą pozostawać nadal pod komendą człowieka,

który na posiedzeniu Sejmu z dnia 19-go marca 1908 postawił wniosek, by miasta płaciły o 3 proc. mniejszy dodatek niż wsie, który zatem większe ciężary przerzucić chciał na rolników, który zawsze za wielkiemi miastami, a przeciw rolnikom występuje.

Nie! Nie wśród demokratów miejskich jest miejsce dla posłów przez rolników wybranych, jeżeli chcą interesów swoich wyborców naprawdę bronić. Posłowie ci powinni niezwłocznie wypowiedzieć służbę p. Głąbińskiemu i narodowym demokratom, a przyłączyć się do księży, którzy klub rolniczy zakładają, inaczej bowiem do upadku rolników tylko się przyczyniają. Stronnictwo narodowo-demokratyczne jest w obecnej swej przemianie jednem z najszkodliwszych.

Bo jeżeli przewódcom ludowców słusznie zarzucić można, że w szeregi rolników waśń wprowadzili, że mniejszych rolników na większych podburzali i jedność rolniczą rozdarli, to narodowi demokraci gorzej zrobili, bo rozdarli i rozdwoili narody, bo wywołali z rusinami walkę, w której my, jako we wschodniej Galicyi słabsi, z każdym dniem tracimy. I za to mają ich może kochać polscy rolnicy?

Czyż podniesienia swego mają szukać w związku z mieszczuchami, co zupełnie przeciwne rolnikom mają potrzeby?

Nawet p. Stapiński poznał się na tem, że rządy demokratów byłyby strasznem dla rolników niebezpieczeństwem i w ostatnim numerze *Przyjaciela Ludu* pisze:

„W Kole polskim była burza. Posłowie demokratyczni chcieli odebrać rządy obszarnikom-konserwatystom a osadzić swoich na stanowiskach rządzących. Ale skończyło się to sromotną klęską wszechpolaków. Dla nas ludowców taka zmiana rządów, jaką chcieli przeprowadzić wszechpolacy, byłaby gorszą od dotychczasowych rządów.

„Źle dla nas, gdy rządzą obszarnicy, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby rządzili urzędnicy, a stronnictwo wszechpolskie składa się prawie z samych urzędników; trzech chłopów Fidler, Maślanka i Wiązek nie może tam mieć żadnego wpływu. Z tej walki między obszarnikami a urzędnikami — być może — wyniknie korzyść dla ludu.

„Może nareszcie obszarnicy przyjdą do rozumu i przekonają się, że bez ludu, mała ich siła i musieliby przegrać wojnę z urzędnikami, których jest znacznie więcej. Może tedy obszarnicy wyciągną z tych doświadczeń naukę na przyszłość, że trzeba się podzielić władzą z ludem. Daj Boże aby to zrozumieli.

„Są pewne oznaki, że to się stanie. Oczywista rzecz; że może się to stać tylko pod tym warunkiem, że ci, którzy chcą porozumienia z ludem, uznają sprawiedliwe żądania ludu“.

Na te słowa p. Stapińskiego, tyle tylko odpowiemy:

Rządy obszarników nie były widocznie złe dla ludu, skoro lud uróśł pod temi rządami w bogactwo i znaczenie, a natomiast obszarnicy znacznie upadli. Widocznie więc o sobie nie myśleli.

O tem, że obszarnicy uznają sprawiedliwe żądania ludu, i że je jedne po drugich przeprowadzają, wie p. Stapiński doskonale. Co do podzielenia się władzą z ludem, to stało się to już dawno. Synowie chłopów byli i są na najwyższych stanowiskach.

W każdym jednak razie artykuł *Przyjaciela* jest dowodem rozpoczynającej się przemiany ludowców, która oby była szczerą i trwałą.

W następnym numerze *Roli* jeszcze o tej przemianie, jak również o zmianach w stronnictwie „konserwatystów“ napiszemy.

Nowy prezes Koła polskiego.

Na innem miejscu podaliśmy już wiadomość o przemianach, jakie zaszły w różnych stronnictwach galicyjskich. Powiedzieliśmy tam także, że demokraci w Kole Polskiem utworzyli tak nazwaną Unię demokratyczną, która stała się bardzo silną, bo zgromadziła aż 29 posłów. Dotychczas demokraci waśnili się ciągle między sobą i gryźli wzajemnie, ale jak teraz zobaczyli, że można objąć posady, które dla niepoznaki nazywają kierującemi stanowiskami, połączyli się wnet i rozpoczęli rozdawać między siebie te posady.

Rozpoczęli od tego, że napisali tak zwaną deklaracyę, z której każdy może wyczytać, że nie chcą już dłużej mieć w Kole prezesem pana Abrahamowicza. Deklaracyę tę zanieśli panu Abrahamowiczowi do domu, a on przeczytawszy, powiedział, że naturalnie zaraz ustąpi, bo nie może być prezesem, kto nie ma większości za sobą.

Na to tylko czekali demokraci i zaraz wybrali swojego, pana Głąbińskiego. Że za nim głosowali demokraci, to rozumiemy, bo przecież na to się złączyli w Unię demokratyczną, ale dziwimy się, że głosowali na niego także i przedstawiciele rolników. Gdy oni już nie mieli swojego kandydata, albo też widzieli, że nie mogą go przeprowadzić, to lepiej było dla nich wstrzymać się od głosowania. A dlaczego? o tem wiecie już z artykułu, w którym pisaliśmy wyżej o przemianie stronnictw.

Po panu Głąbińskim, który jest posłem mieszczańskim, rolnicy się niczego dobrego spodziewać nie mogą.

Chyba, że się teraz zmieni i zrozumie, że jako prezes nie może być tem, czem był dotąd, to znaczy przywódcą jednego stronnictwa, ale że jest kierownikiem całego kraju i że powinien służyć wszystkim stronnictwom i całemu społeczeństwu.

Życzymy panu Głąbińskiemu, aby się jeszcze raz przemienił w polityce, ale żeby się przemienił w tym dobrym duchu i dobrym kierunku, to jest, aby zapomniał, że jest wszechpolskim, narodowym demokratą, a natomiast pamiętał, że ma dbać o wszystkie warstwy społeczne.

Życzymy mu, żeby ta przemiana zaraz nastąpiła, tymczasem zaś patrzeć będziemy dobrze i kontrolować dokładnie jego działalność, a gdy tego zajdzie potrzeba, to nie zawahamy się powiedzieć otwarcie i stanowczo naszego zdania o nim.

Co słychać w kraju?

Skład austryackiej Rady gabinetowej uległ w tych dniach znacznym zmianom, a cesarz zamianował kilku nowych ministrów. Już od dawna przygotowywało się to przesilenie, albowiem po ostatnich wyborach pozostali w gabinecie bar.

Becka tacy ministrowie parlamentarni, którzy dawniej reprezentowali wielkie stronnictwa, a teraz po wyborach powszechnych utracili tę podstawę, bo te stronnictwa bardzo nielicznie zostały wybrane do parlamentu. Stało się tak głównie w Czechach, gdzie dawniej najmocniejszą partyą byli tak zwani Młodoczesi. Tymczasem od niedawna rolnicy czescy zaczęli się coraz bardziej jednoczyć, tak że stworzyli wreszcie ogromnie silne stronnictwo, które wybrało do parlamentu 26 swoich posłów. W Austryi górnej znowu ogromnie się skrzepiła partya katolicka ludowa, która wreszcie złączyła się ze stronnictwem chrześcijańsko - społecznem, tworząc bardzo wielką siłę. Z tych to głównie stronnictw zostali teraz powołani nowi ministrowie. Ministrem rolnictwa został zamianowany dr. Ebenhoch, gorliwy katolik, bardzo dobry prawnik, znakomity mowca i co dla nas bardzo ważne, wielki przyjaciel Polaków. Ministrem handlu został dr. Franciszek Fiedler, człowiek bardzo uczony, profesor uniwersytetu w Pradze, który zasiadając już od kilku lat w parlamencie, niejednokrotnie odznaczył się swemi przemówieniami w sprawach ekonomicznych. Mówią o nim, że chce się bardzo dzielnie zająć rozwinięciem w Austryi przemysłu i handlu, coby i Galicyi wyszło na wielką korzyść. Czesi dostali nowego ministra-rodaka w osobie p. Karola Praszka, który jest wieśniakiem czeskim i przez trzy lata służył w wojsku jako prosty żołnierz, aż wreszcie zyskał rangę kaprala. Minister Praszek jest samoukiem. a przecież zwłaszcza w rolnictwie bardzo się wykształcił i wzorowo gospodaruje na ziemi, jaką odziedziczył po ojcach. Reprezentuje on rolników czeskich, stronnictwo agrarne, które jest obecnie najsilniejsze w obozie czeskim. Niemieckim ministrem rodakiem został Franciszek Peschka, także rolnik, ale członek i przywódca niemieckiej partyi agrarnej w Czechach. Ostatnim ministrem zamianował cesarz dra Alberta Gesmanna, Niemca, znawcę spraw szkolnych. Na razie został on ministrem bez teki, a dopiero później będzie dla niego utworzone nowe ministerstwo robót publicznych.

Na ostatnich posiedzeniach parlamentu rozpoczęły się obrady nad przedłożeniem budżetowem, które na r. 1908 wygotował minister skarbu Korytowski. Budżet austryacki na rok przyszły jest ogromny, bo przekracza sumę dwóch miliardów koron. W sumie tej zostało też uwzględnionych wiele potrzeb naszego kraju. — Tak więc na budowę dróg i mostów w Galicyi przeznacza rząd dość znaczne sumy, jako dodatki państwowe do kosztów. Między innemi wnmienić tu trzeba trzy mosty drewniane na drodze krajowej z Przemyśla do Sanoka, kilka dróg gminnych w powiecie przemyskim, rozszerzenie tak zwanego gościńca podolskiego, most na Sanie koło Radymna w powiecie jarosławskim, drogę gminną z Białej na Skawinę do Zawoi w powiecie myślenickim, drogę z Jarosławia na Pruchnik do Nienadowy itp. Inne znowu sumy są przeznaczone na regulacyę rzek, między innemi na regulacyę górnego biegu Wisły od ujścia rzeki Przemszy koło Gorzowa do granicy koło Niepołomic, na regulacyę Dunajca od Zgłobic do ujścia Dunajca, na regulacyę różnych części rzek: San, Dniestr, Prut, Bug i inne. Prace regulacyjne będą też dalej prowadzone na Wisłoce. Dotąd wykonano już roboty faszynowe na przestrzeni od Mielca do ujścia Wisłoki. Teraz trzeba jeszcze zabezpieczyć ten nasyp od strony wody kamieniami, a także zwęzić koryto w niektórych miejscach. Pod Szczucinem ma być zbudowany na Wiśle port handlowy i zimowy, w związku z nową koleją lokalną z Tarnowa do Szczucina.

Skąd się w chłopie tęgość bierze.

Nim świt zorzy wschód rozpali,
Łuną krwawszą od korali,
My, wieśniacy,
Ludzie pracy,
Budzimy się już.
Dla rolników — dla swych dzieci,
Boże słonko zawsze świeci
Od poranku
Bez przestanku
Do zachodnich zórz.

Niech tam sobie inni leżą,
W miękkim puchu pod odzieżą,
Gdy już w górze,
Na lazurze
Płonie słońca żar.
W nas jutrzanych brzask promieni
Krew pobudza i płomieni;
Chłopskiej kości,
Da tęgości
Południowy skwar.

Niech tam inni siedzą dzieckiem,
W tęgą zimę za przypieckiem —
Na zaduchu —
I bez ruchu
Niech się grzeją tam!
My na mrozach na zawody
Walim drzewo, rąbiem lody;
Nam śnieżyca
Krasi lica —
Ciepło daje nam.

Nas nie spędzą z pola burze,
Piorunami grzmiące w chmurze;
Zawodami,
Z żywiołami
Chłop nabiera sił.
Stąd ta w chłopie duszy stałość,
Siła woli i wytrwałość,
Że od wschodu
Do zachodu
Wierny słonku był.

Chłop gdy krzyknie — to jak grzmotem!
Kiedy machnie — to z łoskotem!
Ściśnie w pięści —
To zachrzęści!
Obcym mu jest trud...
Masz więc, wrogu — coś dowoli
Paśl się chlebem polskiej roli —
Świat otwarty!
Bo nie żarty
Gdy brwi zmarszczy lud...

Ferdynand Kuraś
chłop z nad Wisły.

Samopomoc rolników.

Piękną myśl podjęli, a po części i w czyn wprowadzili rolnicy kilku gmin w gub. kowieńskiej na Litwie. Jest to coś w rodzaju wzajemnego ubezpieczenia od ognia. Mianowicie na wypadek pożaru większego u którego z rolników danej gminy, pozostali gospodarze dają na rzecz poszkodowanego po garncu żyta od morga gruntu. Wynosi to jednorazowo jakieś kilkadziesiąt korców żyta, które w naturze, czy spieniężone, wraz z odszkodowaniem za spalone budynki, wypłaconem przez kasę ubezpieczeń, powetuje często całkowicie poniesioną wskutek pożaru stratę. Uchwały podobnej samopomocy zapadają obecnie na zebraniach gminnych i wysyłane zostają do zatwierdzenia przez władze odnośne. W jednym wypadku pożaru zastosowano już projekt powyższy ku ogólnemu zadowoleniu. Zebrano po wsiach żyto i oddano poszkodowanemu, który będzie miał za co teraz spędzić zimę wraz z rodziną i uratowanym z pożaru inwentarzem, a z wiosną za pieniądze, odebrane za asekuracyę, wybuduje sobie dom i zabudowania gospodarskie i znów stanie na nogi.

Wogóle zaznaczyć należy, że włościanie okolicy, o której mowa, poważnie pracują nad zaprowadzeniem ładu w stosunkach sąsiedzkich i garną się tłumnie do wspólnej pracy. Poprzednio już zapadły bardzo pożyteczne uchwały, dotyczące zachowywania się na jarmarkach i targach, poszanowania świąt, palenia papierosów przez nieletnich i t. p. — Jest to piękny przykład, godny naśladowania i u nas.

Listy od rolników.

Co nam potrzeba?

Panowie Koledzy! Jasno i otwarcie należy sobie powiedzieć, że jest źle i w mocy nas wszystkich leży, czy będzie gorzej, czy lepiej!... Chcąc jednak dojść do czego, musimy raz zerwać z dotychczasowym systemem. Rolnictwo jest zaniedbane, pracujemy, napracujemy się, a mało ciągniemy korzyści.

Przejechałem się i ja po kilku innych krajach. Gdzieniegdzie jest jeszcze gorzej jak u nas, lecz jest lepiej jak u nas... My, chcąc dojść do czegoś, idźmy naprzód i jak powiada poeta: „uderzmy w czynów stal“. Uczmy się i łączmy! Mieszczuchy i różni handlarze domagają się otwarcia granicy wschodniej dla tamtejszego bydła, trzody chlewnej i zboża. Miasta i ich zausznicy żądają dalej takiej zmiany reformy prawa wyborczego do sejmu, któraby nad nami rolnikami dawała im przewagę. Rząd ociąga się z zaprowadzeniem wag na targowiskach miejskich, i t. p...

Łączności nam potrzeba, dla wspólnej obrony zawodowych interesów naszych!...

Panowie! Gospodarze! Koledzy! wstyd i hańba nam, żeśmy głodni, wstyd i hańba nam, żeśmy ciemni pomimo tego, że Pan Bóg obdarzył nas tyloma rozumami. Do pracy więc, a w przeciągu lat kilkunastu odrodzimy się, w przeciągu kilkunastu lat będziemy syci i światli, a dzieci nasze nie będą nas przeklinały, żeśmy zmarnowali przez Boga dane nam talenty, lecz będą nas błogosławiły, że dzięki nam nie będą zmuszone znosić głodu i chłodu.

Bo jak mówi poeta:

„Możemy dużo mieć — byleśmy tylko chcieli mieć“.

Do czynu zatem, do czynu! — do narodowej łączności!

Jan Kaczak
włościanin z Dąbrowicy.

Z doświadczeń rolniczych.

Gdzie nauka radzi
A praca gromadzi,
Oszczędność zachowa
A cnota jest zdrowa,
Tam też, miły bracie
Pomyślność jest w chacie.

Przechowywanie ziemniaków przez zimę.

Przechowywanie ziemniaków na długą zimową porę powinno być zawsze starannie wykonanem. W podłużnych, prawidłowo założonych i przykrytych kopcach, ziemniaki doskonale się przechowują. Z mojego doświadczenia wiem, że pierwszorzędnym warunkiem zdrowego przechowania ziemniaków jest suchość i chłód w kopcu. A dalej — koniecznie wybrać trzeba chore, nabolałe kłęby ponieważ te łatwo zdrowe kłęby zarażają, szerząc zarazę w całym kopcu.

Pod kopiec wybiera się równe miejsce z przepuszczalnem podglebiem i sypie ziemniaki na 1 i ćwierć metra szeroko i 1 metr wysoko. Zagłębienie pod kopiec się nie wykopuje. Zagłębienie jest bowiem szkodliwem, bo tam wilgoć się gromadzi, którą ziemniaki się nasycają. Na usypane ziemniaki daje się równą warstwę zdrowej słomy na 10—15 cm. grubości. Bardzo ważnem jest, aby słoma kłęby wszędzie równo pokrywała, aby nie było próżni itp. Do tego rodzaju roboty trzeba zatem sumiennego i wprawnego robotnika przeznaczyć, na którego się spuścić można. Celem umożliwienia przewietrzania kopca urządza się rodzaj wentylacyi w ten sposób, że na szczyt kładzie się drąg (powąz), który razem z ziemniakami słomą się pokrywa. Z przedłużeniem się kopca powąz dalej się posuwa, i tak utworzy się na kolance jakby „kanał wentylacyjny“, w którym powietrze dowolnie krążyć i do kopca dotrzeć może. Słomę obrzuca się warstwą ziemi na 10 — 15 cm.

Jeżeli ziemniaki zupełnie są suche, można także kalonkę ziemią pokryć z wyjątkiem bocznych otworów tak zw. „wylotów“. W przeciwnym razie szczytu ziemią na razie nie obrzucać. Gdy w późnej jesieni mrozów spodziewać się można, przykrywa się kopiec warstwą słomy lub łętów ziemniaczanych i na to przychodzi warstwa ziemi na cały kopiec. Ziemię do obrzucania kopca wybiera się w pewnem oddaleniu od kopca, a nie tuż przy kopcu. „Kominy“ na kopcach są zupełnie zbyteczne, nawet szkodliwe. Zwyczaj wsadzania wiechci że słomy rzekomo celem wytworzenia wentylacyi, koniecznie zaniechanym być powinien.

W odpowiednim sklepie ziemniaki również dobrze przechowywać można, lecz i w tym razie nie odbywa się bez zachowania pewnej ogłędności. Sklep powinien być suchy i dobrze przewietrzony.

Sklep wilgotny, którego ściany porosłe są grzybkowatą pleśnią, a wydobywający się zaduch razi powonienie, do przechowania ziemniaków z pewnością się nie nadaje. Wprzód trzeba sklepy osuszyć, wytworzyć zdrowe powietrze, jeżeli to wogóle daje się wykonać. Wszelkie pozostałości od starych warzyw trzeba przed zasypaniem świeżego sprzętu pousuwać, jak wogóle cały sklep starannie z nieczystości oczyścić. Wybielenie ścian mlekiem wapiennem tylko polecić można. Wilgotne ziemniaki, przed umieszczeniem ich w sklepie, powinno się na przewiewnem klepisku cienko zasypać, aby uschły, boć wiadomo, że przednim warunkiem dobrego przechowania jest suchość przechowanych kłębów. Celem usunięcia wilgoci ze sklepu posługują się niektórzy wapnem palonem. Na środku sklepu układają gromadkę kawałków wapna i zawsze świeżem zastępują, skoro wapno nasyciło się wilgocią. Ziemniaki sypie się na 80 cm. do 1 m. wysoko, aby umożliwić dostęp powietrza do gromady. O ile powietrze na to pozwoli, bardzo się zaleca przewietrzanie sklepu, otwierając okienka i drzwi.

Z nastaniem niebezpiecznego dla ziemniaków mrozu, drzwi i okna starannie się zamyka, a w razie bardzo ostrej temperatury, okienka zakrywa mierzwą końską. Ale przytem trzeba zachować ostrożność, bo jeżeli po zamknięciu okien i drzwi ciepłe powietrze z wilgocią do sklepu się dostanie, osadzi się wilgoć na kłębach, a oba te czynniki potęgują skłonność do gnicia. One to ku wiośnie powodują wyrastanie, połączone zawsze z utratą treści kłębów. W niemroźne dni sklep przewietrzać można, zwłaszcza jeżeli przy dogodnej temperaturze wieje wiatr wschodni. Lecz na noc wszelkie luki trzeba starannie pozamykać. *Z.*

Wychów cieląt herbatą z siana.

Pan W. Świerczyński pisze w *Gazecie rolniczej*: Od kilkunastu lat poję cielęta herbatą z siana z dobrym skutkiem. Zastępuje ona mi mleko odtłuszczone, powszechnie dziś używane. Wielu jest takich, co mleka odłuszczonego nie mają, biorąc dobrą cenę za mleko nieodtłuszczone i dla dobrej ceny mleka cieląt nie chowają ze szkodą dla siebie, bo dziś za dobrą dójkę drogo zapłacić trzeba. Wprawdzie cielę do trzech lub czterech tygodni potrzebuje koniecznie pić, przeważnie samo mleko, lecz po upływie tego czasu żołądek cielęcia może już przyjąć część jakąś innych stosownych i strawnych pokarmów. Dodawanie do mleka smelek, gotowanych z mąki, powszechnie używanych, nie powinno mieć miejsca, bo te są za ciężkim pokarmem, cielę dostaje od tego dużego brzucha i nie wykształci się normalnie. Herbatę z siana przyrządza się w ten sposób: w naczynie, wielkości stosownej do ilości cieląt, napycha się szczelnie dobre, słodkie i pogodnie sprzątnięte siano do samego wierzchu, nalewa się gorącą, gotowaną wodą tak, ażeby wszystko siano zamoczyła i przykrywa się na dwie do trzech godzin (koniczyna do tego nieprzydatna), po upływie tego czasu odlewa się esencya ciemna, dodaje się do garnca takiej esencyi $1/8$ funta potłuczonego, ugotowanego siemienia lnianego, a jeżeli tego niema, to $1/4$ funta kuchu lnianego, rozpuszczonego w gorącej wodzie (siemię lniane lepsze), nieco osolić i poidło gotowe. Normy urządza się podobnie, jak z mlekiem odtłuszczonem, tj. po trzech tygodniach wieku cielęcia dodaje się do mleka małą ilość, np $1/4$ część litra na raz, powiększając tę ilość stopniowo przez tydzień do jednego litra. Wtedy dostawać będzie cielę około 3 litrów mleka i jeden litr herbaty — porcyę taką trzy razy na dobę. W następstwie ujmuje się stopniowo mleka, a dodaje herbaty, ażeby po 10 tygodniach wieku cielę dostawało już samą herbatę i przestać pojenia. Cielę w tym wieku najeść się może owsa i siana, tych powinno dostawać do 6 miesięcy wieku, ile potrzebuje.

Pytania i odpowiedzi.

Od Redakcyi.

Chcąc zadosyć uczynić życzeniom wyrażanym przez naszych czytelników, a zarazem zainteresować jeszcze więcej naszych licznych przyjaciół, otwieramy, począwszy od obecnego numeru, dział pytań i odpowiedzi w sprawach, tyczących się naszego rolnictwa. Każdy czytelnik *Roli* będzie mógł w tej rubryce porozumiewać się w kwestyach, obchodzących wszystkich rolników, z ludźmi, którzy te sprawy znają i oceniają ich doniosłość. Każde pytanie, które nam nasi czytelnicy nadeślą, będzie umieszczone w jednym z najbliższych numerów *Roli*, odpowiedzi zaś będziemy umieszczali również pod tąsamą liczbą porządkową w następnych numerach pisma.

Ponieważ na zapytania te najlepsze odpowiedzi mogą dawać sami rolnicy, z których niejeden własnem doświadczeniem zyskał na nie odpowiedź, przeto prosimy gorąco wszystkich naszych życzliwych czytelników, o chętne poparcie. Każdy, ktoby ze swojego doświadczenia znał jakąś radę, niech nam ją napisze, aby i inni, a zwłaszcza ten co pyta, mogli z niej skorzystać.

Poniżej zamieszczamy pierwsze pytanie, jakie nam nadesłano:

Pytanie 1. Proszę uprzejmie o poradę, w jaki sposób najprędzej i najłatwiej można wytępić kaniankę czyli wylub w koniczynie? Jest tutaj u nas tego zielska mnóstwo.

Grębowiec z Pilchowa.

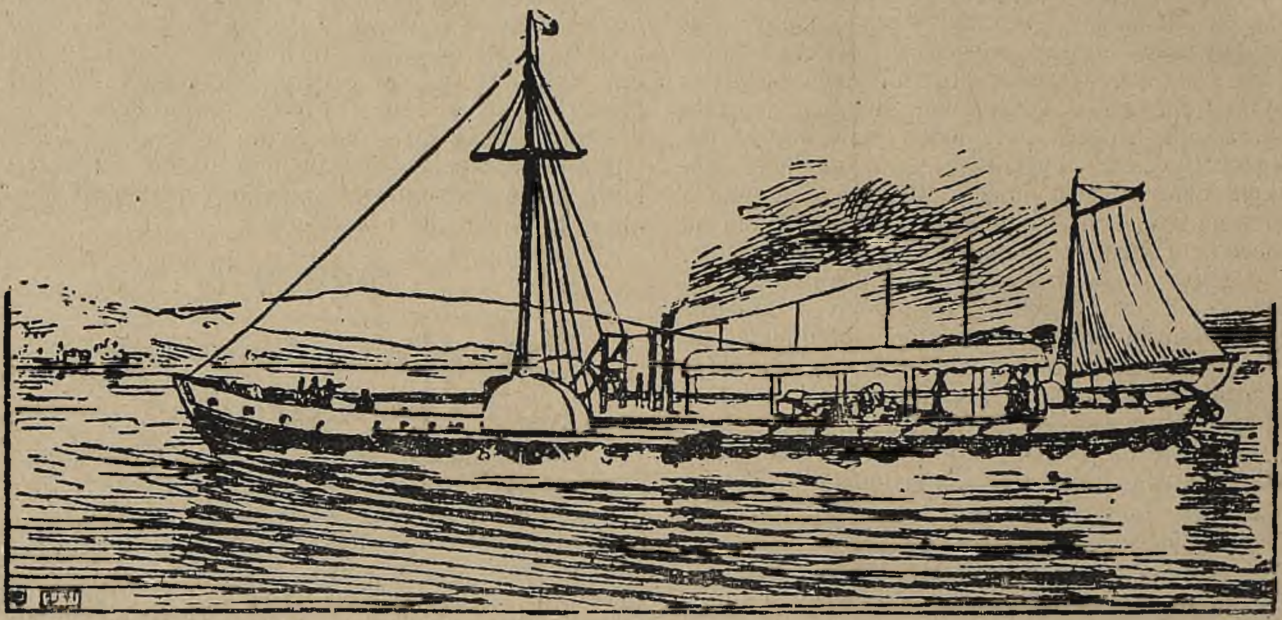
Dom się rysuje!

Mamy dom — mniejsza z tem, czy to pałac złocisty, czy wiejską chatynkę, — dość, że mamy dom, który nas chroni od burz gradowych i od słonecznej spiekoty. Na dachu naszego domu znać już rysę niejedną, może przez naszą nieoględność powstałą, może złośliwą ręką zrobioną. Trzeba by nam pomyśleć o naprawie domu, lub o budowie nowego wspanialszego i wygodniejszego.

Jest nas trzech braci, rodnych braci, dzieci jednego ojca i jednej matki. Pierwszy z braci zasiewa niwę dworską, drugi wziął się do handlu i rzemiosła w mieście, a trzeci uprawia zagon chłopski.

Wspólna troska o ten dom ojcowski nas gniecie, wszyscy myślimy, aby przed upadkiem go zasłonić.

Stuletni jubileusz parowca.



Okręt Fultona „Klaremont“.

Pierwszy brat powiata: „Naprawmy najpierw dom stary, a gdy go naprawimy, przystąpimy do budowy lepszego, okazalszego“.

Drugi brat na to: „Naprawiajmy stary i budujmy równocześnie nowy“.

A trzeci znów: „Poco stary dom naprawiać? Zburzyć go, a na to miejsce postawić nowy!“

Nie było zgody.

Pierwszy brat najwięcej wysiłku kładł na naprawę domu starego. Drugi brat pomagał w łataninie starego, ale więcej myślał o nowym. Trzeci zaś brat wziął siekierę i co tamci dwaj zrobili niszczył zawzięcie, rozgniewany, że go tamci bracia nie usłuchali. I zamiast, aby bracia mieli dom okazalszy i wygodniejszy, mieli go coraz gorszym, bo co dwaj bracia połatali, to trzeci zniszczył. A zniszczenie łatwiej i prędzej przychodzi, niż budowa.

Rezultat był taki, że bracia, kłócąc się, lata czekali na dom nowy, a przez dziury na nos im kapało.

Tak i w polityce.

Dom — to dobrobyt nasz. Bracia — to my sami. Na dobrobycie naszym znać rysy, trzeba by go naprawić, lub z gruntu odbudować. Czujemy wszyscy, że trzeba coś robić, ale jak ci bracia, każdy chce inaczej.

Zamiast wziąć się do pracy, idąc dłoń w dłoń, my złoty czas tracimy na kłótniach i swarach. Jeżeli jeden z nas chce rękę przyłożyć do naprawy dobrobytu, to drugi w tej chwili bierze siekierę i niszczy jego pracę.

Zamiast wspólnymi siłami dążyć do poprawy doli naszej, my psy na sobie wieszamy, my się kłócimy, a, co gorsza, cieszymy się nawet, gdy bratu się noga poślizgnie. A bieda jak kapała, tak na nas kapie!

Hej, bracia, czyż my to nie jednej matki dzieci? Czy jednego z nas rodziła może Szwabka, drugiego Turczynka, a trzeciego Japonka, żebyśmy się żarli i gryźli? Czyż nie wspólną naszą matką ta Polska ukochana?

Precz zawiść, precz waśń, dłoń zgody i miłości podajmy sobie, bo i tak wrogów własnych i wrogów Ojczyzny naszej dość mamy!

Antoni St. Bassara.

Stuletni jubileusz parowca.

Niedawno temu upłynęło aknrat 100 lat od chwili, kiedy na falach wody pojawił się pierwszy okręt parowy. Dzisiaj prawie nie możemy sobie wyobrazić, jakby się jeździło do Ameryki albo do innych krajów zamorskich, gdyby nie było okrętów parowych, które w niedługim stosunkowo czasie przenoszą człowieka przez ogromne morza. A jednak ludzie jeździli bardzo dawno po morzu, zanim wynaleziono maszyny parowe i zanim pomysłowy amerykanin nazwiskiem Robert Fulton zbudował pierwszy okręt parowy. Tylko, że podróże takie, odbywane na okrętach żaglowych pędzonych podmuchem wiatru, trwały bardzo długo, nieraz żeglarze musieli czekać na środku morza dnie całe albo nawet i tygodnie, zanim pomyślny wiater zadął w żagle i popędził okręt naprzód.

Ale i dawniej już próbowali ludzie zbudować taki okręt, któryby sam się poruszał, niezależnie od tego, czy wiatr wieje, czy w powietrzu cisza. Tylko że próby te albo się nie udawały, albo też różni wynalazcy nie mieli dosyć pieniędzy, by zbudować taki okręt z maszynami parowemi. Dzieło to udało się przeprowadzić dopiero amerykaninowi Fultonowi, w roku 1807, tak, że świat obchodzi teraz prawie stuletnią rocznicę tego wielkiego wynalazku, który dał człowiekowi możność łatwego przejeżdżania przez morze. Amerykanin Fulton był z zawodu malarzem, ale mechanika bardziej go pociągała. Rzucił w kąt pędzle, a oddał się całą duszą budowaniu maszyn i obmyślaniu, jakiby można wyciągnąć z nich

pożytek. Długo myślał i rachował, aż wreszcie zabrał się do budowy i zbudował okręt parowy, który nazwał „Klaremont“.

W jesieni 1807 roku spuszczono okręt na rzekę amerykańską nazwiskiem Hudson. Na brzegu zebrało się bardzo wiele ludzi, myśląc, że będą się mieli z czego uśmiać, bo nikt nie wierzył, żeby można pływać siłą pary, a bez żagli. Niemało się zdumieli, gdy okręt puszczony w ruch ręką Fultona, zaczął bić w wodę i wśród przeraźliwego hałasu maszyny, poruszył się z miejsca. Zamiast się naśmiewać, ludzie krzyczeli z radości z i podziwu, tak im się to podobało. Fulton nie troszczył się o te krzyki i śmiało płynął po rzece. Parowe wiosła uderzały w wodę, wyrzucały ją na pokład, z komina wysokiego na dziesięć metrów buchały płomienie i iskry, ponieważ Fulton palił pod kotłem nie węglem ale drzewem. Upłynął tak kilkadziesiąt mil.

Po drodze rybacy i majtkowie okrętów z żaglami padali niemal na kolana na widok tego ognistego potwora, który huczał i hałasował wcale nie na żarty! Nie mogło się im pomieścić w głowie, żeby jakiś statek pływał bez wiatru, albo nawet i przeciw wiatrowi, więc uważali go za dzieło jakiejś nieczystej siły. Po pewnym czasie, gdy Fulton coraz częściej pływał po wodach, ludzie przestali się bać parowca, a za to znienawidzili go, bo obawiali się i to słusznie nawet, że, pływając szybciej od nich, może im odebrać tych podróżnych, którzy dotyczas jeździli na ich statkach. Zaczeli się nawet zmawiać, aby robić okręt i zniszczyć maszyny. Dopiero rząd amerykański musiał zagrozić surową karę każdemu, ktoby się ośmielił uszkodzić okręt parowy Fultona.

Stuletni jubileusz parowca.

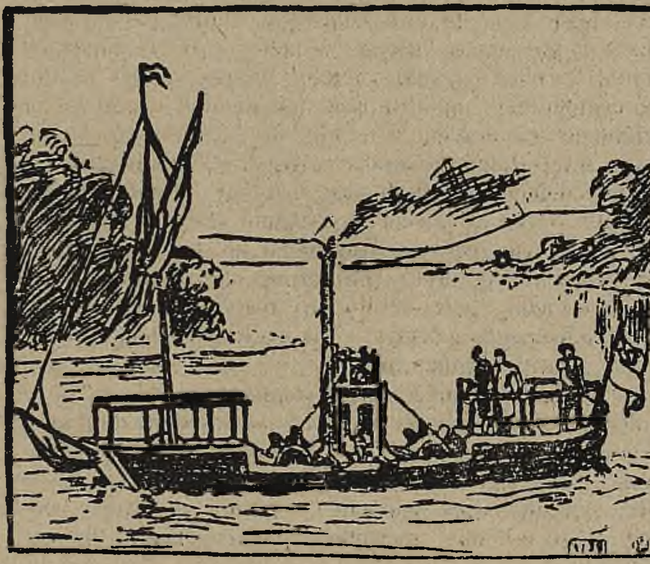


Wynalazca parowca: Robert Fulton.

Fulton zbudował potem jeszcze drugi okręt parowy, znacznie większy, za przykładem jego poszli inni i także zaczęli budować parowce, które wtedy rozszerzyły się we wszystkich krajach i na wszystkich morzach.

Sto lat minęło od tego czasu, a jakaż zmiana nastała na świecie. Każde państwo posiada ogromną flotę wojenną i handlową, do portów przybija codziennie kilka i kilkanaście okrętów, codziennie setki okrętów parowych krąży po najrozmaitszych morzach. Z małego okrętu Fultona urosły kolosy, tak wielkie, że na niejednym i całe miasteczko mogło by się pomieścić. Wystarczy podać dla przykładu, że okręt „Cesarz Wilhelm

Stuletni jubileusz parowca.



Pierwsze parowce angielskie.

II“ przewozi za każdym razem przez ocean 2500 ludzi. Dawniej okręty żaglowe płynęły długie miesiące z Europy do Ameryki, dzisiaj nawet niezbyt pospiesznym parowcem można zajechać z Hamburga do Nowego Jorku za dwa tygodnie. Wynalazca parowca Fulton, samby się pewnie zadziwił, gdyby mógł zobaczyć, jak inni ludzie rozszerzyli jego wynalazek. On palił zwykłem drzewem na swoim okręcie, dzisiaj pali się węglem, a maszyny mają na wspomnianym np. „Cesarzu Wilhelmie II.“ siłę 40.000 koni.

Takto okręt parowy, razem ze swą siostrą, koleją żelazną skraca odległości, zbliża do siebie ludzi, ułatwia im przenosić się z miejsca na miejsce, sprzedawać swoje produkty rolne i wyroby ręczne w dalekich okolicach. Ludzie więc powinni być wdzięczni wielkiemu Fultonowi za jego wynalazek i zachowywać w pamięci jego nazwisko.

Poprzednik Drzymały.

Pomysł sławnego teraz na całym świecie Drzymały został już przed dwoma laty wprowadzony w czyn na Kaszubach przez rolnika i rybaka nazwiskiem Jana Peplińskiego. Rolnik ten już dwa razy przezimował w swej ruchomej chałupie, zbudowanej w oddaleniu 4 kilometrów od Kościerzyny.

Pepliński mieszka tuż nad brzegiem jeziora, jako właściciel 150 mórg ziemi, w których jest 100 mórg boru. Posiadał on jeszcze przed dwoma laty 400 mórg i wtenczas starał się o pozwolenie na wybudowanie domu. Lecz wydział powiatowy, niemal wyłącznie składający się z Niemców, uznał niby to z obawy o samego rolnika, że Pepliński nie zdoła się wyżywić na tej ziemi, i aby go od niechybnej śmierci głodowej uchronić, odmówił mu pozwolenia na wybudowanie osady.

Lecz nasz Kaszuba dał sobie radę. On, który podług stanowczej opinii landrata i wydziału powiatowego nie mógł się wyżywić na 400 morgach boru, odprzedał większą część tegoż, bo około 250 mórg, i za uzyskaną sumę kupił sobie inwentarz, a resztę pieniędzy zużytkował na inne nieuniknione potrzeby. Więc zbudował sobie naprzód dom na czterech kołach. Od kół aż do komina, albo raczej gołębnika, wszystko jest jego robotą. Drzewo wziął z własnego boru, półtoracalowe deski także są z drzewa własnego, i tak stanęła chałupa 3 i pół metra długa, 3 metry i 10 centimetrów szeroka i tyleż wysoka. Ażeby władzy odjąć ostatni cień wątpliwości, jakoby dom ten nie był rzeczywiście ruchomym, nie braknie i dyszla, do którego oczywiście będzie mógł Pepliński konie założyć. Chodziło głównie o udowodnienie, czy dom jest ruchomy. Jeżeli bowiem Pepliński może w swem mieszkaniu w razie chęci jechać jak cygan, państwu pruskiemu nic nie zagraża, jeżeli zaś dom jego byłby połączony nieruchomo ze ziemią żywicielką, stanowiłoby to niebezpieczeństwo dla tegoż potężnego państwa. Tak wyłożyli Peplińskiemu swoją „prawdę“ żandarmi.

Pepliński chętnie chciał żandarmom okazać uruchomienie swego mieszkania, lecz jego jedyny koń sam, jak twierdził, nie uciągnie. W troje koni atoli — powiada — można z domem jechać, chociażby na Łysą górę. Jeżeliby więc panowie żandarmi w dwójkę pomogli jego szkapie, niechybnie pojadą, dokąd im się spodoba.

Żandarmi uwierzyli i bez próby. Spisali więc protokół, wskutek którego władza zostawiła naszego Kaszubę w spokoju. Ten się zaś na dobre rozgospodarował. Dla bydła, które więcej posiada u władzy względów, niż ludzie, zbudował sobie chlew obszerny pod górą, w którym mieści się koń, koza i kilka wieprzków. Nad jeziorem na małej łączce widać rozwieszone na kolbach sieci i trzodę gąsek. Na dachu domu ogromna beczka z dwoma okrągłymi otworami, to gołębnik. Komin zaś niedaleko gołębnika jest, jak cały dom, z drzewa zbudowany. Torba myśliwska i latarnia zewnątrz, obok okienka nad dyszlem zawieszone, służą ku upiększeniu. Wejście jest z boku. Zaraz przy drzwiczkach znajduje się żelazny piec do gotowania.

Gdy mu zwrócono uwagę na niewygodę takiego mieszkania, Kaszuba odpowiedział:

— Ciej Pon Bog wnetki nie zmieni, to me i dłużej wytrzymome!

Nasze ryciny

W dzisiejszym numerze podajemy portret księdza biskupa barona Roppa, który — jak to już *„Rola“* pisała — na swej stolicy biskupiej w Wilnie naraził się rządowi rosyjskiemu przez to, że jako wierny pasterz trzody katolickiej, gorliwie działał dla jej dobra, bez względu na to, że w oczach rządu rosyjskiego uchodzić to będzie za winę i że naraża się skutkiem tego na wielkie niebezpieczeństwo. No, i spotkała go za wierne spełnianie obowiązków biskupich ze strony wrogiego katolicyzmowi rządu rosyjskiego kara. W Petersburgu, gdy nie chciał dobrowolnie zrzec się swego urzędu, oświadczono mu, iż nie wolno mu już wracać do swej dyecezyi, lecz udać się musi na wygnanie. Z godnością i spokojem przyjął zacny biskup ten niesprawiedliwy wyrok, choć w duszy gorzko i ciężko mu być musiało, rozstać się z ukochaną swoją trzodą. To cierpienie za sprawę Wiary św. i Kościoła naszego zaskarbiło mu jednak w najwyższej mierze cześć uznanie i miłość nietylko całego polskiego narodu, którego jest synem, lecz i całego katolickiego świata.

Dalsze ryciny w dzisiejszym numerze odnoszą się do ostatniego jubileuszu statku parowego, o czem piszemy w osobnym artykuliku.

KRONIKA.

Wypadek kolejowy. D. 5. bm. po południu zderzyły się na stacyi kolejowej „Bonarce“ dwa pociągi ciężarowe. Na stojący mianowicie na placu stacyjnym pociąg towarowy najechał wskutek źle ustawionej zwrotnicy drugi pociąg towarowy, dążący ze Swoszowic. Maszynista i palacz nadjeżdżającego pociągu, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, wyskoczyli z maszyny. Skończyło się na uszkodzeniu maszyny i kilku wagonów, które wskutek silnego uderzenia spiętrzyły się i z toru wyskoczyły.

Nieszczęśliwy wypadek. Prądnik Czewony pod Krakowem stał się widownią tragicznego wypadku. Karolowi Jakimionkowi, 36-letniemu kierownikowi zakładu sadowniczego, podczas nabijania wypaliła stara strzelba odtylcowa, której cały ładunek rozdarł nieszczęśliwemu brzuch i ugrzązł w jelitach. Sąsiedzi zbiegli się na ratunek rannemu, lecz wszelka pomoc okazała się bezskuteczną, gdyż nieszczęśliwy po krótkiem pasowaniu się ze śmiercią życie zakończył. Sąsiedzi opowiadają, że Jakimionek strzelał myszy polne, goniące po ogrodzie; gdy strzelba nie wypaliła, począł wydobywać nieostrożnie nabój, przyczem spowodował wybuch, którego padł ofiarą.

Zasiłki dla pogorzelców. W październiku b. r. uchwalił Sejm kredyt w kwocie 500.000 kor. do dyspozycyi wydziału krajowego na zasiłki dla ludności dotkniętej klęskami elementarnemi. Równocześnie przekazał Sejm wydziałowi krajowemu cały szereg próśb dotkniętych klęską pożaru. Wydział krajowy po zbadaniu próśb przyznał pogorzelcom, między innemi jednorazowe zasiłki w następujących gminach w powiatach wschodnich: Germakówka w pow. borszczowskim 120 kor.; Borzęcin w pow. brzeskim 380 kor.; Brzozów 1220 koron; Nienowiec w pow. jarosławskim 320 kor.; Zabłotce w pow. jarosławskim 160 kor.; Schönanger w pow. mieleckim 240 kor.; Skopów w pow. przemyskim 20 kor.; Andryanów w pow. rudeńskim 100 kor.; Nowosiołki w pow. rudeńskim 100 kor.; Chwałowice w pow. tarnobrzeskim 420 kor.; Sporysz w pow. żywieckim 120 kor. Ogółem rozdał wydział krajowy pogorzelcom zasiłki w sumie 17.150 kor.

Dzieciobójczyni. W Koniuchach, pobliskiej wiosce pod Przemyślem wykryła żandarmerja prawdziwą fabrykę aniołków, prowadzoną na wielką skalę przez tamtejszą włościankę Dłubańczyk. Owej włościance „towaru“ dostarczała przemyska faktorka, Perla Fass. W chacie Dłubańczykowej znaleziono trzynaścioro małych, zaledwie kilkomiesięcznych dzieci, pozbawionych wszelkiej opieki i pokarmu. Maleństwa opuszczone, w brudzie i nieczystości porzucone po podłodze, przewracały się jedno po drugiem, wrzeszcząc bez przerwy i kwiląc przeraźliwie. Dłubańczykowa, choć brała zapłatę od każdego dziecka, przecież nie tylko, że nie dawała im żadnej opieki, ale nawet mleka. Wychowanie dzieci w ten sposób prowadziła, że zwykle maleństwa zamykała w chacie, a sama szła na robotę. Po powrocie

zaś biła je i tłukła niemiłosiernie, dopóki nie nastał spokój, a nawet dawała dzieciom pić rum dla uspokojenia.

Jedna z matek przyszedłszy raz odwiedzić swoje dziecko, a widząc co się z nim dzieje, pomimo wstydu, odebrała dziecko z tej „fabryki". Nic dziwnego, że dzieci marły jedno po drugiem, tak, że wreszcie te częste pogrzeby zwróciły uwagę żandarmerji i spowodowały śledztwo. Niegodziwą kobietę aresztowano.

Uduszenie własnej żony. Przed sądem przysięgłych we Lwowie odbyła się w tych dniach rozprawa przeciw Antoniemu Konopczakowi, zamożnemu rolnikowi w Zubrzy, liczącemu 30 lat. Prokaratorja oskarżała go o morderstwo własnej żony, z którą żył w ustawicznej waśni. Miał on w nocy na 3 czerwca br. udusić żonę, a następnie wrzucić ją do studni, obok swego obejścia.

Ofiara prześladowania Moskali.



Ks. biskup wileński Ropp.

Rano wyszedł z izby i począł szukać wraz z pastuchem żony, której — jak twierdził — nie zastał ku wielkiemu swemu zdziwieniu w izbie. Podszedłszy do studni, spostrzegł pływającą na wodzie konewkę, a tknięty przeczuciem, począł szukać w studni i dotknął się jej zwłok. Narobił krzyku, zbiegli się sąsiedzi i zwłoki wyciągnęli. Konopczakową znaleźli w pozycji siedzącej. Świadkowie wykluczają prawdopodobieństwo nieszczęśliwego wypadku. Sekcja wykazała śmierć skutkiem uduszenia, względnie utonięcia. W obu wypadkach oznaki po śmierci spostrzegane są jednakowe. Konopczakowa była w stanie bliskiego rozwiązania. Świadkowie stwierdzili, że krytycznej nocy słyszeli krzyki nieszczęśliwej, proszącej męża, by jej darował życie. Po śmierci żony Konopczak nie okazywał żadnego żalu. W tydzień po jej śmierci zaręczył się, a w miesiąc później ożenił

Podczas procesu nie udowodniono jednak dostatecznie, że Konopczak rzeczywiście zamordował żonę, jak go o to oskarżyła prokuratorya i dlatego przysięgli wydali wyrok uwalniający. Prokurator wniósł zażalenie nieważności.

Ukarany złodziej. Antoni Łesyk z Wołczy Dolnej w powiecie starosamborskim wyprawił się w nocy do lasu na kradzież. Wyprawa zakończyła się bardzo smutnie, bo Łesyk spadł z drzewa i zabił się na miejscu, osierocając żonę i dziecko.

Śmierć wskutek otrucia. Pewien rolnik z Kozłowa, pod Śniatynem czując się chorym na żołądek, posłał do Śniatyna do apteki po lekarstwo. Zwyczajnie kupowali tam na to lekarstwo bez recepty pod nazwą „kawy". Tym razem posłaniec zażądał także „kawy". Aptekarz nie zrozumiał widocznie żądania i wydał karbol, flaszkę zaopatrując etykietą „karbol". Chłop zażył lekarstwo, a także jego żona i domownik. Dwoje zmarło, trzecia osoba walczy ze śmiercią.

Dzielna matka. Pewien czeladnik rzeźnicki z okolicy Kruszwicy zapoznał się w Berlinie z pewną Niemeczką i chciał się z nią żenić, chociaż ani słówka po polsku nie umiała. Przyjechał więc z nią, by ją matce swej przedstawić. Lecz ta przyjęła go w sposób wcale niespodziewany, — bo miotłą. Jak niepyszny więc odesłał swą ulubioną napowrót do Berlina i postanowił nie wprowadzać Niemki do rodziny.

Rabunek wozu pocztowego. Za przykładem bandytów rosyjskich zaczynają już i nasi galicyjscy opryszkowie puszczać się na śmielsze przedsięwzięcia. Przed kilku dniami jakiś drab napadł na wózek pocztowy jadący do Nowego Sioła koło Powołoczysk. Zatrzymał on wózek, zrzucił na ziemię pocztyljona, poczem go nożem poranił i rewolwerem bił po głowie. Pocztyljon leżał przez chwilę nieprzytomny na ziemi, a drab wsiadł na wózek i odjechał w stronę wsi Terpiłówki. Na zrabowanym wózku znajdował się list pieniężny, wysłany do Tarnopola, zawierający 26.000 kor., jakoteż inne listy pieniężne, polecone i zwykłe, oraz 13 pakietów, łącznej wartości 4.000 kor., tak, że ogólna strata poczty wynosi zwyż 30.000 kor. Pościg żandarmów był bezskuteczny.

Zabity nożem. We wsi Mazurówce koło Grzymałowa wydarzył się przed paru dniami tragiczny wypadek, którego główną przyczyną było, jak tak często, niestety, pijaństwo. W karczmie zabawiało się w nocy kieliszkiem kilku parobków, a między nimi woźnica ze młyna Nikołaj Paciuk. Jak zwykle przy pijatyce, przyszło do sprzeczki, a Paciuk podejrzewając, że parobcy zmówili się, aby go pobić, uciekł z karczmy do swojej chaty, gdzie uzbroiwszy się w ostry nóż, wyszedł na podwórze.

Jeden z śmielszych parobczaków, nazwiskiem Franciszek Przeniczka, podszedł ku niemu z widocznie wrogim zamiarem. Zaledwie jednak zbliżył się, Paciuk rzucił się na niego i zadał mu nożem kilka pchnięć w brzuch i w głowę. Nieszczęśliwy Przeniczka padł na ziemię śmiertelnie ranny, a w parę godzin później zmarł. Zabójcę aresztowała żandarmerya i odstawiła do sądu.

Kosztowna ciekawość. Siedmioletni pastuszek, Stefan Bohun z Borchowa, podpalił rozmyślnie stojącą w polu stertę siana, własność p. Stanisława Ossolińskiego, dzierżawcy w Oleszycach. Zapytany, co skłoniło go do tego czynu, tłumaczył się Bohun, że uczynił to z ciekawości, chciał bowiem zobaczyć, jak siano palić się będzie. Ciekawość pastuszka kosztuje p. Ossolińskiego 2.000 koron.

W Rosyi wojsko się znowu buntuje. We Władywostoku wtargnęło kilku podburzycieli w nocy do koszar i namówiło szeregowców batalionu minierów do buntu. Poczęli oni ostrzeliwać koszary, w których stały dwie kompanie strzelców. Strzelcy broniąc się działami maszynowemi, zmusili buntowników do złożenia broni. Po obu stronach zabito i raniono kilku.

Krótko po tej walce rozpoczęła w tem samem mieście załoga okrętu „Skory", podburzona także przez rewolucyonistów, ogień przeciw miastu i wojsku. Zwo-

łane do pomocy okręty wojenne oraz pułk strzelców podziurawiły „Skorego“ aresztowały załogę, a rewolucyonistów zabiły. I tu wielu poniosło śmierć, i to nie tylko z żołnierzy, ale i z niewinnych mieszkańców miasta. Nad fortecą ogłoszono stan oblężenia.

Wędrująca góra. Nietylko ludzie, ale i góry zaczynają już wędrować, jak to się stało w pobliżu miasta Aubenas we Francyi. Znajdująca się tam olbrzymia góra rozpoczęła nagle wędrówkę, uchodząc 40 metrów na godzinę. W 26 godzinach odbyła góra drogę 200 metrów. Gościniec idący obok góry i dwa mosty uległy zniszczeniu. Góra niszczy w pochodzie wszystko, co napotka. Górę znowu gonią inżynierowie, obmyślając sposób zatrzymania jej. Przyczyną wędrówki góry są, jak się zdaje silne źródła wody, które się niedawno poruszyły. Inaczej tego dziwnego zjawiska niepodobna wytłómaczyć.

Wartość człowieka, choćby tenże wydawał się najmniej znaczącym przedstawia się nader imponująco. Udowodnili to chemicy. Kiedyby się człowieka chemicznie rozłożyło, możnaby z jego poszczególnych składników zrobić cały szereg pożytecznych przedmiotów. Otóż z człowieka o średniej wadze 68 kilogramów (136 funtów) możnaby tyle wytworzyć gazu wodorowego, iżby wystarczyło do napełnienia balonu unoszącego nieraz 70 kg. Dalej zawiera człowiek w stanie prawidłowym tyle żelaza, iżby można zrobić siedm dużych gwoździ — tłuszcz jego wystarczyłby do ulania $6^1/_2$ kg. świec, węgla wystarczyłoby do sfabrykowania 65 grosów ołówków, fosforu do zaopatrzenia główkami 820·000 zapałek. Nadto znaleźlibyśmy jeszcze u człowieka 20 łyżeczek soli, 59 kawałków cukru i 42 litrów wody.

Liczba Polaków w Ameryce w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej wynosi, według najnowszej statystyki, ogłoszonej przez organ Stowarzyszenia dzienników polskich p. t. „Prasa Polska“ w Milwaukee, imponującą cyfrę trzech milionów. Najwięcej rodaków naszych liczą następujące stany: Pensylwania 525.000, Nowy Jork 475.000, Illinois 425.000, Michigan 225.000, New-Yersey 190.000, Minnesota 150.000, Connecticut 120.000, Ohio 120.000, Indiana 60.000, Missouri 55.000 Maryland 30.000, Nebraska 30.000, Rhode Island 30.000 Texas 20.000.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. K. Brzeszcze. Wierszyki bardzo ładne; chętnie wydrukujemy. Artykuł będzie umieszczony w najbliższym numerze. **St. F. Gromnik.** Prenumeratę otrzymaliśmy. **St. K. stud. Teol. Lwów.** Wysłaliśmy wedle żądania. Warunki prenumeraty drugiego wspomnianego pisma nie są nam znane. **J. S. Roztoka.** Numery wysłane. **W. F. Łukowa.** Wysłaliśmy. **X. S. B. Laszki.** Wedle życzenia wysyłamy. **J. M. Czechowice.** Bardzo nam miła pochwała każdego rolnika. Nie tylko chcemy utrzymać gazetkę naszą na obecnym poziomie, ale staramy się, aby była coraz bardziej zajmująca. O dodatkach teraz jeszcze nie możemy myśleć. Może później, jak się rozwinie. **M. M. Skomielna Biała.** Numery uzupełniające wysłaliśmy. **B. J. Niwiska.** Wysłane. **Dr. A. S. Tarnobrzeg.** Otrzymaliśmy. **J. T. Miejsce Piastowe.** Numery wysłane. Prenumeratę otrzymaliśmy.

NIPPON BANZAJ!*)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

12) (Ciąg dalszy).

Do ataku!

W godzinę po rozbiciu *Sokoła* Kondratienko z Wittheftem siedzieli w gabinecie tego ostatniego.

Co chwila rozlegały się zdala ryki dział, od których mury domu wstrząsały się w posadach, ale nie zwracali na to uwagi. Do wszystkiego można się przyzwyczaić!

Na stole przed nimi na srebrnej tacy stała butelczyna, której zapomocą smoły i piasku nadano wszelkie pozory omszałości. Chleba i mięsa w Porcie Artura nie było już za wiele, ale takich omszałych butelczyn można było jeszcze dostać na osłodę — kto wie — czy nie ostatnich chwil. Wodzowie pokrzepiali się.

Stary komendant kiwał się nawet trochę w fotelu. Po całych nocach czuwał, odpoczynek należał mu się słusznie.

Kiwał się i na ustach jego zjawiał się niekiedy promienny uśmiech. Marzył może w tej chwili, jak to on zagra przy sposobności na swoim klawikordzie, jak gruzy bryzną pod samo niebo ognistą kurzawą.

— T-trrach!!

Witthefi spoglądał na niego w milczeniu, pociągał z lampki cienkusza, któremu smołą i piasek nie wiele dodały tężyzny, i niekiedy marszczył się, jakby od wewnętrznego niepokoju.

Czuł w sobie dziwnego robaka, który świdrował wątrobę, a którego i wino nie mogło jakoś uśmierzyć.

— Czy nie nazbyt powolnie pospieszył *Sokołowi* na pomoc?

Zżymał się na siebie i niemal z niechęcią spoglądał na drzemiącego Kondratienkę. Zazdrościł mu w tej chwili spokoju, jaki daje tylko twarde wypełnienie obowiązku.

W pewnym momencie na dole powstał naraz hałas, do pokoju wpadło kilku oficerów.

Witthefi podniósł rękę.

— Tsss!! — szepnął i wskazał na drzemiącego generała.

Lecz ten otworzył już oczy.

— No? — zapytał.

Twarze wszystkich promieniały nadzwyczajną radością, oczy gorzały tak, jakby conajmniej otrzymali byli wieść o chlubnej śmierci w boju — naprzykład samego admirała Togo.

Jeden z oficerów wystąpił nieco naprzód.

— Wielka, nadzwyczajna nowina! — obwieścił uroczyście. — Następca się narodził!

Kondratienko skoczył z miejsca, jakby mu trzy ćwierci lat ubyło.

— Co!? — wykrzyknął. — Czy prawda!?

— W tej chwili sygnalizowano z Czifu.

Stary wódz zwrócił się do kąta, w którym widział posrebrzony obraz Mikołaja Cudotwórcy i przeżegnał się z namaszczeniem.

— No! — odetchnął z głębi serca. — Kart współczesnej nam historyi przewróciła się już na

*) „Niech żyje Japonia“!

drugą, na naszą stronę. Obwieścić natychmiast tę nowinę w rozkazie dziennym. Z zapasów, jakie jeszcze zostały, wydać dla każdego żołnierza po kwaterce wódki. I niech później przychodzą do nas wszystkie japońskie „Nogi"!

Oficerowie wybiegli ochoczo spełnić rozkaz.

Kondratieńko nalał sobie lampkę wina i wychylił ją do dna.

— Za pomyślność młodego pana, nadziei Rosyi! Zobaczysz pan, panie admirale — zwrócił się do Witthefta — że teraz wszystko inaczej pójdzie. Czuję to po sobie.

W tej chwili na dole przy wejściu powstał jeszcze większy hałas i zmieszany gwar licznych głosów. i za moment do pokoju wtłoczyła się dość liczna gromadka, tym razem przeważnie oficerów marynarki. Na czele ich postępował człowiek, o którym napewno można było na razie tyle tylko powiedzieć, że był wprost wyjęty z wody lub błota, albowiem ociekająca zeń woda odrazu utworzyła kałużę na miejscu, na którem się zatrzymał, zaś błoto oblepiało go od stóp do głów, zamazując rysy twarzy i odznaki potarganego na strzępy mundurowego ubrania.

Obaj wodzowie wstali ze swoich miejsc i z niekłamanem rozciekawieniem wytrzeszczyli oczy.

Przybyły podniósł do zabłoconego czoła dwa palce zabłoconej ręki.

— Mam zaszczyt przedstawić się. Kapitan pierwszej klasy marynarki wojennej, Reitzenstein, przybyły tu z rozkazu admirała Skrydłowa.

Obaj wodzowie poskoczyli ku niemu.

— Co!? — wykrzyknął Kondratienko. — Skrydłowa? A więc na tej łupince, która w oczach naszych rozleciała się przed godzinką!?

— Właśnie na tej łupince. Przybycie moje opóźniło się nieco, ponieważ na plecach musiałem holować do brzegu towarzysza mego, młodego kadeta, który omdlał był z ran.

Kondratienko spojrzał porozumiewawczo na Witthefta.

— Nie mówiłem, że teraz wszystko inaczej pójdzie! Oto ten zginął był, jużeśmy go opłakali, a oto ożył.

I podstąpiwszy do Reitzensteina, serdecznie uścisnął jego rękę.

— W dobrą godzinę przybywasz, mości kapitanie! Uciesz-że się i ty radosną nowiną, którą właśnie przed chwilą otrzymaliśmy tutaj. Wyobraź sobie coś najbardziej pocieszającego, co mogło nas spotkać obecnie!

— Kuroki rozbity! — pochodził z żywością Reitzenstein.

— N...no!... Na razie nie wiemy jeszcze... Ale przyjdzie, teraz napewno i to przyjdzie. Obecnie mamy coś innego... Carowa syna nam powiła!

Z wolnych od błota ocznych szpar na twarzy Reitzensteina wybiegł błysk, podobny do zdumienia.

— Nam!... Syna nam!?

I naraz połapał się w sytuacyi.

— Ach, syna! Och, to radość, to istotnie więcej, niż rozbicie jakiegoś kosookiego generała.

Powiedział to z ironią tak subtelną, że stary generał przyjął ją za czyste złoto.

— Tak. Mówię to panu, jako z góry zapłatę za wieści, które nam zapewne przywozisz. Bo prawie pewny jestem, że wieści dobre, co?

— No, na razie, nie są to jeszcze wieści — a tylko propozycye, plany!

— Od Skrydłowa?

— Tak! I z aprobatą sztabu w Petersburgu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kącik humorystyczny.

Nie liczy.

— Ile pan masz lat? — pyta jeden drugiego.

— 60 albo 70 — była odpowiedź.

— Jakto? nie wiesz pan dokładnie?

— No widzi pan, rachuję pieniądze, bo mi mogą zginąć, ale lat nikt mi nie ukradnie, to ich liczyć nie potrzebuję.

Dobra żona.

— Moja żona tak jest dobra, że mi buty ściąga...

— Jak z karczmy wracasz? — zapytuje przyjaciel.

— Nie, ale jak chcę iść do karczmy.

Surdut Jasia.

Nauczyciel: Owce dają nam wełnę, z wełny wyrabia się sukno, z sukna robią ubrania; powiedz-że mi teraz, z czego jest zrobiony twój surdut?

Jaś: Ze spodni mego ojca.

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 12 listopada 1907).

Zarówno zaofiarowanie jak popyt były na tym targu słabe, i jakolwiek ceny utrzymują się w pełni na wysokim poziomie, dostrzegać się daje pewna obawa, czy wysokie ceny, mianowicie pszenicy, dadzą się na dłuższy okres czasu utrzymać, na co kupcy zboża zapatrują się dosyć sceptycznie.

Sprzedawano: pszenicę białą od 12·30—12·70 kor., czerwoną od 12·30—12·70 kor., żyto 11·00—11·60 kor., jęczmień 8·69—9·40, owies 8·00—8·25, groch zwykły 11·25—12·00, groch Victoria 11·75—14·75 (do siewu), na paszę 00·00—00·00, wyka nowa 7·25—8·00, bobik 7·25—7·75, kukurudza stara 00·00—00·00 kor., nowa 7·90—8·10 kor., Cinquantino 8·70—9·90 kor., otręby pszenne 6·60—7·00, otręby żytnie 7·10—7·30, rzepak 17·60—18·00, koniczyna nasienna czerw. 00·00—00·00 biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00. Wszystko za 50 klg.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 12 listop. br. spędzono na targ sztuk: bydła rogatego rosłego 198, jałownika 81, cieląt 226, owiec i kóz 14, nierogacizny 531. — Razem 1050 sztuk. Woły z paszy płacono 170—300 koron za sztukę, woły opasowe od 00·00—000·00, krowy od 120·00 do 260·00 kor., buhaje 90·00 do 270·00 kor. Jałówki po 60·00 do 130 k. Cielęta po 78·00 do 90·00 koron za 1 cetnar metr. żywej wagi, cielęta na sztuki po 21 koron do 23 koron, nierogaciznę tuczną 116—134 koron za jeden centnar metr. żywej wagi, nierogaciznę tuczną po 000—000 kor. za 1 centn. metr. rzeźnej wagi, owce sztuka 18—20 kor. — Sprzedano dla miejscowej konsumcyi: bydła rogatego, cieląt i nierogacizny 1050 sztuk. — Na eksport bydła rogatego — sztuk, nierogacizny — sztuk. Pozostało do drugiego targu — sztuk. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

BANK ZIEMSKI W ŁAŃCUCIE

zaleca kupno gruntów w następujących majątkach:

Błędowa

wieś w powiecie rzeszowskim, o 11 klm. od stacyi kolejowej i miasta Łańcuta. Gleba glinka urodzajne, położenie pagórkowate. Cena od 700—900 koron za mórg gruntu. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Bryń

wieś w powiecie stanisławowskim, oddalona o 3 klm. od stacyi kolejowej Bednarów, gdzie się znajduje kościół rz.-kat. Grunta w Bryniu są urodzajne glinki, łatwe do uprawy. Nabyć można pola orne, łąki, lasy zręby po cenie 300—700 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu udziela wszelkich wyjaśnień zarządca gospodarczy Józef Dołęga.

Bybło

wieś w powiecie przemyskim o 5 klm. od Nowego miasta, gdzie jest parafia rzym.-kat., szkoła polska, urząd pocztowy i telegraficzny oraz stacya kolejowa. Grunta pszenne, urodzajne, w cenie od 600—700 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Bystrzyca górna

wieś w powiecie ropczyckim oddalona o 14 klm. od stacyi kolejowej Sędziszów, gleba łatwa do uprawy, lekkie glinki o położeniu pagórkowatem. Cena gruntów ornych i łąk od 500—900 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu zarządca gospodarczy p. Antoni Inglot.

Jurków

wieś w powiecie brzeskim, oddalona o 20 klm. od stacyi kolejowej Brzesko, zaś o 10 klm. od miasteczka Zakliczyna Grunta glinki urodzajne z przymieszką piasku, pszenne o położeniu pagórkowatem. Cena za grunta orne i łąki od 400—1200 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Kołokolin

wieś w powiecie rohatyńskim. Kołokolin oddalony jest o 7 klm. od stacyi kolejowej Bukaczowce, zaś o 1 klm. od Żurowa, gdzie znajduje się kościół rzym.-kat. i szkoła polska. Gleba bardzo dobra, przeważnie czarnoziem o położeniu nieco pagórkowatem. Cena gruntu i łąk 700—800 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a od 1 kwietnia Delegat Banku na miejscu w Kołokolinie. W Kołokolinie znajduje się fabryka gipsu i cementu a ponadto kopalnie alabastru i dotąd należycie nie eksploatowane pokłady marmuru.

Niedźwiada

majątek w powiecie ropczyckim, o 10 klm. dobrego gościńca od Ropczyc a o 3 klm. od Łączek kucharskich, gdzie jest parafia i poczta. Grunta są bardzo dobre, pszenne, łąki znakomite, słodkie, trzykośne. Cena gruntów za mórg od 800 kor. wyżej. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a każdego czwartku delegat Banku na miejscu w Niedźwiadzie.

Ostrów

wieś która bezpośrednio łączy się z miastem Przemyślem.

Przemyśl liczy przeszło 50.000 mieszkańców, jest siedzibą łacińskiego biskupstwa, posiada seminaryum duchowne obrządku rzymsko-katolickiego, dwa gimnazya, seminaryum nauczycielskie żeńskie, szkoły wydziałowe, starostwo, sąd obwodowy oraz liczne urzędy i finansowe instytucye. Przemyśl zapewnia łatwość kształcenia dzieci, zarobków i sprzedaży wszelkich produktów, jakie daje gospodarstwo rolne. Grunta w Ostrowie przeznaczone na sprzedaż pochodzą z parcelacyi miejscowego obszaru dworskiego. Grunta są bardzo dobre pszenne przeważnie czarnoziem. Cena za grunta orne i łąki począwszy od 1000 koron wyżej a za las koron 400 za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a począwszy od 1 kwietnia b. r. Delegat Banku na miejscu w Ostrowie.

Stadnia

wieś w powiecie złoczowskim, o 3 klm. drogi od stacyi kolejowej Skwarzawa, gdzie jest szkoła polska i kościół rzymsko-katolicki. Przeznaczone do parceli grunta są bardzo urodzajne, czarnoziem, bogaty w próchnicę. Można nabyć tak grunta orne, jak łąki za cenę 600—800 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a na miejscu Delegat Banku p. Kazimierz Żuławski.

Wołczyszczowice

wieś w powiecie mościskim. Odległość od stacyi kolejowej i miasta Sądowa Wisznia wynosi 12 klm. Grunta bardzo dobre, przeważnie pszenne w cenie od 700—900 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Wola łużańska

wieś w powiecie gorlickim, oddalona o 9 klm. od Gorlic. Stacya kolejowa, poczta i szkoła w miejscu, kościół oddalony o $1^1/_2$ klm. Grunta urodzajne lekko pagórkowate w cenie od 800 koron za morgę. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, zaś na miejscu zarządca gospodarczy p. Walenty Orłoś.

Wola sławna

folwark położony w gminie Straszęcin, powiat Ropczyce, o 5 klm. od miasta Dębica, a o 3 klm. od stacyi kolejowej Grabiny. W Dębicy znajduje się gimnazyum, sąd powiatowy, urząd pocztowy i znaczna ilość wojska. Dębica zapewnia łatwość kształcenia dzieci, zarobków i sprzedaży wszelkich produktów, jakie daje gospodarstwo rolne. Grunta rędziny oraz glinki z przymieszką piasku bardzo urodzajne. Cena od 600—800 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu we dworze w Straszęcinie właściciel Wny Julian Bielański.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Woinara w Krakowie.